

„BANKIERZY RUIN” W WARSZAWIE

Teatr „Placówka”. Adam Ważyk: „Bankierzy ruin” komedia w trzech aktach. Reżyseria: Stanisława Perzanowska. Dekoracje: Władysław Daszewski

Prawdziwy klimat „Bankierów ruin” — atmosferę przejściowości, improwizacji, dorywczności, nowości w całym środowisku, sytuacjach i uczuciach wydobyli dopiero w Warszawie Perzanowska i Daszewski. W takiej „Celestynie” z jej mnóstwem obrazów mógł się dekorator należycie popisać; tutaj (jedno skromne wnętrze przez trzy akty) zdawało by się, że nie. I właśnie: hic Ródus, hic salta! Dekoracja Daszewskiego sygnalizowała od razu klimat, który się na jej tle roztoczy, a malarsko była kompozycją nader interesującą w swej harmonii delikatnych kolorów, sprzęgniętych czarnym kwadratem owej dykty w oknie. Mam zastrzeżenie natomiast do barw ubioru Doboszowej: ta postać, która tworzy całkowity kontrast z prawie wszystkimi figurami sztuki, powinna wyłaniać się z gamy otaczających ją kolorów.

W przedstawieniu katowickim, z którego zdałem sprawę w nr. 18 „Odrodzenia”, reżyserka kładła nacisk na jak najściślejszy kontakt między mieszkaniem „bankierów” a sąsiadującym z nim przez ścianę barem. Kontakt ten starano się nawiązać przy pomocy muzyki z baru, ukazujących się w drzwiach waluciarzy oraz kelnerki, która zjawia się regularnie w każdym akcie, by wynieść ze sceny zawsze tę samą butelkę... Stanisława Perzanowska zrozumiała, że ważniejszy jest kontakt mieszkania z ulicą i ruinami. Klamrą, która je spina, jest krótki, lecz ważny epizod z „poszukiwaczem”, z hieną ruin. W Katowicach wykreślono tę scenkę! A przecież Ważyk, chociaż ma dopiero krótką przeszłość sceniczną, wie doskonale, że pewnych spraw nie wolno w teatrze zbyć „tajchoscopią” czy „relacją z ołów”. Dlatego właśnie wprowadza na scenę poszukiwacza zakopanych skarbów (Łodyński), wyłaniającego się z kulis — dźwiękowej ulicy i ruin, kulis towarzyszącej całemu przedstawieniu trafnie i żywo. Dlatego właśnie nakazał sobie autor, by takie wyeliminowanie dwóch postaci z akcji i społeczeń-

stwa: aresztowanie Tornera przez Kobuzę (Woźniak, Wasilewski) i ucieczka Hanki (Salaburska), odbyło się na oczach widza. Bo wypadki ważne i decydujące muszą mieć na scenie swoją wymowę wizualną. Wykreślenie epizodu z poszukiwaczem było jedną z wielu krzywd, które wyrządzono Ważykowi w Katowicach, w teatrze przecież tak sumiennie prowadzonym.

Perzanowska i jej zespół wydobyli wszystko ze sztuki Ważyka, co w niej tkwi. Nie wygasła ani jedna pointa dialogu i to, co dzieje się między słowami i zdaniem, było podane jasno i wyraziście. Nie unikano pauz, nie przyspieszono tempa, by forsować komediowość utworu — przydało by się może tylko jeszcze trochę wesołości i lekkości. Najgłębsza nawet sentencja nie straciła na wadze, jeżeli się ją wypowie lekko i bez podkreślania.

Woźnik był na premierze nieco nieśmiały. Rola opanowanego, zimnego drania Tornera, deklamującego o piorunach i apokalipsie, jest trudna w sąsiedztwie żywiołowego Przaśnika, zwłaszcza, że go Kaczmarek swym temperamentem powiększył prawie do rozmiarów symbolu... tego Przaśnika, który skierowany na właściwą drogę, byłby pewnie wymarzoną siłą roboczą; a przypuszczać należy, że również Feliks, Ewa i Eliza wyjdą z katastrofy utęcheni i zdrowi. Z trzech panien z baru „Zacisze” tylko Sojeczka (Ewa) i Salaburska (Hanka) były bez zarzutu, także i dzięki temu, że autor dał im role pełnokrwiste i psychicznie bogate. Łaskowskiej (Eliza) brak jeszcze rutyny w prowadzeniu błyskotliwego, „salonowego” dialogu, której wymagają ta rola. Feliks Wiłamowski miał w sobie znużenie człowieka wytraconego z równowagi. Epizod starej Doboszowej (Chojućka) okraślił przedstawienie i dał mu mocny finał. Salaburski (Henryk), którego pasjonującą autentyczność podziwialiśmy niedawno w „Nocach gniewu”, zjawił się tym razem na krótko, wystrojony jak PC urzędnik z przedwojennego MSZ.

Autor, wiedziony instynktem samozachowawczym, nie był na premierze w Katowicach. I może śmiało uważać przedstawienie w „Placówce” za prapremierę swej komedii.

Artur Marya Swinarski

„Odrodzenie”
1948